ROK PIĄTY.

—

№ 16.

WARSZAWA

d. 3 (15) kwietnia

1860.

REDAKCYA

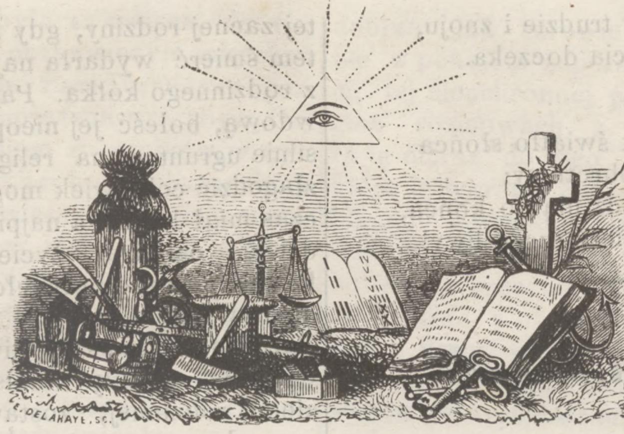
CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Przewodnia.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dlategoć P. Bóg dał pieniądze, abyś wedle potrzeby ubogie z nich żywił, to jest, gdy nie mają, gdy głód cierpią. Jako ty słudze pieniądze na szafunek dajesz, tak też Bóg tobie daje, abyś je wedle potrzeby szafował. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*

Westchnienie.

—

U stóp ołtarza klęczy dziewica,
Myślą wzniesiona za Niebios progi,
A łzy kroplami spływają z lica,
Usta szlą modły za lud ubogi.

—

Ogniem natchnienia płoną jej oczy,
W twarzy rozlana dobroć anioła,
Jakiś nieznany odblask uroczy
Promieni blade skronie dokoła.

—

Jak anioł z nieba zwiastun pokoju,
Na zakończenie modłów gorących
Powiodła wzrokiem wśród ludzi roju,
W świątyni Pańskiej kornie klęczących.

—

I rzecze: łaski udziel im Boże,
Zeszlij pociechy promyczek drogi,
Litość twa Panie! niech lud wspomoże,
Boć to twój ludek słaby, ubogi!

—

Upadły w duchu; w imię litości
Błagam Cię, wskaż mu, która to ścieszka,
Co nią ominie życia przykrości,
I stanie w miejscu, gdzie szczęście mieszka.

—

Bracie cierpiący! księgę żywota
Bóg podyktował swemu uczniowi,
Oto jej napis: „Krzyż i Golgota“
Za wieczne prawo dał ją ludowi.

—

Z niej się nauczysz, jak żyć potrzeba,
By zyskać ulgę w boleściach duszy;
To święte prawo, wielki dar nieba,
Niedoli twojej więzy pokruszy.

—

Jednem uczuciem dobra wspólnego
Złączone wszystkie ludu plemiona:
Praca, wytrwałość, miłość bliźniego,
To bratnich związków piękne znamiona!

—

W nich to spoczywa godło pokoju,
Wytknięta droga życia człowieka,

Którą przebywszy w trudzie i znoju,
Upragnionego szczęścia doczeka.

—

Te prawdy jasne jak światło słońca
Podał ludowi Bóg dobrotliwy;
Weź je za ścieszkę, idź nią do końca,
Ominiesz troski, będziesz szczęśliwy!

Szkółka w Brzozówce.

I.

Na niewielkiej przestrzeni, otoczonej jakby murem lasów, a z jednej strony oblanej Wisłą, o mil kilka od miasta Płocka rozciągała się szczupła posiadłość, złożona z kilkunastu chałup wiejskich, wpośród których wznosiła się wieżyczka kościołka, a z drugiej strony bielał dworek ocieniony drzewami. Wokoło tych siedzib ciągnął się kawał gruntów, częścią do dworu, częścią do włościan należących, a dalej lasy, oddzielające jakby od reszty świata to ciche samotne utronie. Wioseczka nazywała się *Brzozówką*; była ona własnością od lat kilku pani Tarmińskiej wdowy po zacnym obywatelu, która sprzykrzywszy sobie świat, tu wytchnienia szukała po bolesnych kolejach życia. Ona to wiedziona prawdziwie chrześciańskiem uczuciem miłości bliźniego, wyprowadziła z nędzy biednych, zapomnianych dawniej od bawiącego gdzieś za granicą pana, wieśniaków, stając się ich opiekunką, i usiłując o ile była zdolną, uczynić mniej ciężką dolę biednego kmiotka. Ta to zacna pani myśląc o losie swoich poddanych, zmieniła ów zakątek w miłą i pełną wdzięku wioseczkę.

Państwo Tarmińscy byli majętni dawniej, lecz w różnych kolejach utracili znaczną część swego mienia. Pan Bóg też jakby w nagrodę straty w majątku, dał im długo upragnionego ślicznego synka, który otrzymał imię Stanisław. Staś był pociechą i szczęściem rodziców, chował się zdrowo, rósł jak na drożdżach; a gdy już doszedł do wieku, w którym uczyć się zaczął, był pilnym, okazując wielkie zdolności i najszlachetniejsze serca przymioty. Tak płynęły lata szczęśliwe dla tej zacnej rodziny, gdy nagła choroba, a potem śmierć wydarła najlepszego męża i ojca z rodzinnego kółka. Pani Tarmińska została wdową, boleść jej nieopisaną jedynie tylko silnie ugruntowana religia i miłość dla syna złagodzić cokolwiek mogły. Stanisław wówczas miał lat 16, a najpiękniejsze rokując na dzieje, osładzał życie owdowiałej matce. I znów lat parę upłynęło, gdy niespodziewanie nowy grom uderzył w zbolałe serce pani Tarmińskiej: nieszczęśliwe a nieprzewidziane wypadki zmusiły Stanisława do opuszczenia ziemi rodzinnej, zostawiając mu zaledwie czas do pożegnania ukochanej matki i przyjęcia jej błogosławieństwa. Straszny to był cios dla pani Tarmińskiej, żyjącej jedynie życiem i szczęściem swego dziecięcia; pragnęła umrzeć, ale Bóg śmierci nie zesłał.

Po przebyciu pierwszych chwil gwałtownej boleści i stanu zupełnego prawie odrętwienia, w którym myśleć nie była zdolną, spojrzawszy około siebie, ujrzała się samą, opuszczoną, bez wsparcia i pociechy. Sprzykrzywszy sobie miejsca, gdzie tyle nieszczęść doznała, postanowiła sprzedać resztę pozostałego majątku i wynieść się gdzie daleko, aby w ustroniu resztę życia spędzić mogła na modlitwie i wspomnieniach lepszej przeszłości. W tym to celu kupiła Brzozówkę; odosobnione jej położenie podobało się nieszczęśliwej wdowie. Lecz i tu los zdawał się ją ścigać; wkrótce bowiem po zamieszkaniu w nowem dziedzictwie gwałtowny pożar wszczął się w jednej chatce wieśniaczej, a silnym wiatrem podniecany, całą prawie spustoszył wioskę; ocalał tylko kościołek i cokolwiek oddalony dworek. Jęki i narzekania pogorzelców dręczyły serce pani Tarmińskiej; jeden szczególniej wypadek w czasie pożaru wydarzony okropne na niej uczynił wrażenie. Ubogi wyrobnik od roku chory na nogi, leżąc w łóżku, nie mógł wyjść z chaty, gdy ogień ją ogarnął, a w ogólnej trwodze zapomniany od innych, został przygnieciony walącym się dachem. Dziesięcioletnią Martę sierotę pozostałą po nieszczęśliwym Błażeju pani Tarmińska wzięła do siebie i najczulszem otoczyła staraniem; a następnie z prawdziwie chrześciańskiem zapomnieniem o sobie zajęła się losem biednych pogorzelców. Zacny pleban tej wioski czynem i radą przychodził jej w

pomoc. Szczęściem była to wiosna, łatwiej więc było biedakom pozbawionym mieszkań pod gołem żyć niebem. Pani Tarmińska zgromadziwszy swoje szczupłe fundusze, co prędzej zajęła się sprowadzeniem robotników w celu odbudowania wioseczki; robota szła szybko, a w jesieni jedna część wieśniaków miała schludne chatki z całem przy nich małem zabudowaniem, w których i inni mogli znaleść na zimę schronienie. W następne lat parę, gdyż w miarę funduszów szła i robota, Brzozówka nowa i wyświeżona stanęła, a jej górzyste położenie, lasy blizkie i niedaleko płynąca Wisła dziwnego dodawały powabu.

Ta ciągła praca, wytężenie myśli i zwrócenie jej nieustanne ku niesieniu ulgi nieszczęściu drugich, ta prawdziwie macierzyńska opieka i troskliwość o swych biednych poddanych, nie zostawiała prawie chwili czasu pani Tarmińskiej do pomyślenia o sobie, a modlitwa, z którą zawsze spływa do duszy pociecha, łagodziła boleść wewnętrzną. Sierota po Błażeju mała Marta, dziewczę dobre i wdzięczne, była także osłodą pani Tarmińskiej. Gdy po całodniowem krzątaniu, oglądaniu budowli, dozorowaniu robotników strudzona wracała do domu, Marta siadała przy jej nogach i chciwie słuchała różnych opowieści. Dobra pani nauczyła Martę czytać i pisać, różnych robót ręcznych i kobiecego gospodarstwa.

I tak czas płynął, Brzozówka była odbudowana; spokojne, ciche było w niej życie. Ale to dziwna, że za zmniejszeniem się kłopotów i pracy, z przywróceniem spokoju wokoło, zdrowie pani Tarmińskiej zaczęło niknąć widocznie. Niepewność losu syna, niepokonana tęsknota ogarniały jej duszę; gdy to gorączkowe prawie wysilenie i potrzeba działania dla drugich ustała, i siły słabły codziennie. Marta jedyna i nieodstępna swej ukochanej pani towarzyszka, widziała ten stan zdrowia zatrważający. Postęp trawiącej choroby nie uszedł czujnej baczności sieroty, która własnem życiem gotowa była okupić zdrowie swej opiekunki.

Lato się zaczęło, cała natura zdawała się oddychać nowem życiem i swobodą, tylko w białym dworku Brzozówki smutno i posępnie było. Pani Tarmińska znała dobrze jak zdrowie jej było podkopane, ale z pokojem zupełnym oczekiwała śmierci, tej nieuchronnej posłanki Boga. W długich rozmowach z Martą, przysposabiała ją nieraz do tego powtórnego sieroctwa, które ją wkrótce czekało. Choć bardzo osłabiona, korzystając z pogody, codziennie wsparta na ramieniu Marty pani Tarmińska odbywała przechadzki; lecz te coraz stawały się krótsze z ubytkiem sił niknących. Mieszkańcy Brzozówki poczciwi wieśniacy, kochający nad wszystko swoję panią, niepokoili się stanem jej zdrowia i modlili się o nie gorąco.

Raz po przebyciu dnia całego z większem cierpieniem jak zwykle, pani Tarmińska wyszła z Martą na przechadzkę ku wzgórkowi za ogrodem, z którego śliczny otwierał się widok. Usiadła, a oparłszy głowę na ramieniu Marty, w głębokiem utonęła dumaniu. Przed jej oczyma o kilkadziesiąt kroków wpośród zielonych łanów rozpościerała się wioska, schludne domki wieśniacze wychylały się z ocieniających je drzewek, odbijając się ślicznie na tle ciemego dębowego lasu, a dalej płynąca Wisła odbijała w swych nurtach promienie zachodzącego słońca. W powietrzu jakaś niewysłowiona cisza dziwnie do dumania usposabiała duszę.



Z wieżyczki kościoła ozwał się dzwonek wzywający na *Anioł-pański*; pani Tarmińska jakby ze snu zbudzona, uklękła i głosem uroczystym odmawiała tę krótką modlitwę, a przy wyrazach: módl się za nami teraz i w śmierci godzinę, dzwonek umilkł, głos pani Tarmińskiej przycichnął i łzy spłynęły po spokojnem i bladem obliczu. Po chwili rzekła do Marty, która z wyrazem uwielbienia i boleści spoglądała na swą szanowną opiekunkę:

Tak dziecie moje! trzeba umierać, trzeba pożegnać tę ziemię, na której wiele wycierpiałam; lecz dzięki niech będą Bogu, że mi dozwolił spełnić świętą powinność osładzania doli bliźnich. To moje dzieło, dodała wzruszonym głosem, wskazując na wioseczkę. Spokój, dobry byt i szczęście tych poczciwych ludzi Stwórca pozwolił mi zapewnić; dzisiaj więcej jak kiedykolwiek ta myśl przynosi mi pociechy, może to po raz ostatni chcę się nią pocieszyć i zaspokoić. O! dzięki tobie Boże za to, coś dopełnić pozwolił. Jedno tylko, dodała ze łzami, jedno nie spełnione, a tak gorące życzenie, zajmuje moje dni ostatnie.

Pracując nad polepszeniem losu tych biednych ludzi, mówiła do Marty, odwiedzając ich chatki, zbliżając się i wtajemniczając w ich życie, z żalem widziałam, jak w tych ludziach obok prostych i poczciwych serc brak jasnych pojęć o tem, co człowiek wiedzieć powinien. Wtenczas to powstało w mojej duszy pragnienie założenia tu szkoły wiejskiej, aby wpłynąć na oświecenie, uszlachetnienie tego ludu, tak poczciwego z gruntu, a tak nieświadomego. Ale fundusze wyczerpnięte zupełnie ani pozwalają o tem pomyśleć. Gdyby choć 450 rs... po chwili dodała, byłoby to może dostateczne na spełnienie tego zamiaru, na wystawienie domeczku i opłatę rocznego nauczyciela. Ale nie mnie to już, wskazując na cmentarz białym otoczony parkanem, którego krzyżyki drewniane wyglądały z drzew zielonych, nie mnie to już; w tym ostatnim spoczynku pracowitego ludu i ja spocznę niedługo, a po mnie ktożby o tem pomyślał? Stasia niema; onby jeden zrozumiał myśl umierającej matki.

Umilkła, długą jeszcze chwilę pozostała na miejscu, smutnym oddana myślom, które wspomnienie syna obudziło w jej duszy, potem powstała zwolna i milcząc, poszła do domu.

Była to ostatnia przechadzka pani Tarmińskiej, odtąd już nie podniosła się z łóżka przy którem Marta we łzach dnie i noce pędziła. Tak upłynęło dni kilkanaście, w których chora oddawała się jedynie myśli o Bogu i modlitwie. Następnie wezwawszy plebana, zacnego starca, w ręce jego złożyła ostatnią swoję wolę i pożegnanie dla syna w razie, gdyby powrócił. Pobłogosławiła Martę, i prawdziwie po chrześciańsku spokojnie oddała Bogu duszę.

Jaka była rozpacz Marty, jaki niewysłowiony żal osieroconych wieśniaków, opisać tego trudno. Po skromnym, bez wszelkiej okazałości pogrzebie, lecz uświęconym szczeremi łzami i gorącą modlitwą przytomnych, tym jedynem świadectwem, które może posłużyć nam u Boga, cisza grobowa zaległa Brzozówkę, smutek osiadł we wszystkich sercach.

Było lato, piękne, pogodne; zboże dojrzewające powiewało obfitym kłosem, wzywając rolnika do pracy, do zbioru mającego być nagrodą całorocznych mozołów. Chłopek, którego od świtu wywołuje z chaty praca, nie ma czasu na smutki; zwolna więc znów wszystko powróciło do dawnego porządku, przerwanego na chwilę przybyciem nowego pana, dalekiego krewnego pani Tarmińskiej, który tymczasowo objął zarząd Brzozówki.

Kumoszki tylko zebrawszy się w gromadkę, często radziły o dobrej nieboszce pani, przypomniały jej cnoty, dobroć, uczynność dla biednego ludu, jej poświęcenie się dla nich, a pokiwawszy głowami, fartuchem ocierały zapłakane oczy, mówiąc: Panie! świeć nad jéj duszą! i rozchodziły się po chatach.

Z Martą inaczej się działo. Od śmierci pani inną się zupełnie stała: smutna, milcząca, unikała rozmowy z ludźmi, na cmentarzu całe godziny trawiła, a wieczorem w czasie zachodzącego słońca widywano ją klęczącą na

owym wzgórku, do którego ostatni raz z swą drogą panią chodziła. Ciotka jej poczciwa kobiecina, u której po śmierci pani Tarmińskiej Marta mieszkała, nie mogąc jej uspokoić, mawiała: Niech się tam nieboga wypłacze, wyżali, to i lżej jej potem będzie; a ma kogo żałować, bo nieboszka drugą matką dla niej była.

Płynęły dnie, tygodnie, a biednej sieroty nic zająć i utulić nie mogło. Pewnego wieczoru dłużej jak zwykle modląc się na grobie pani Tarmińskiej, Marta powiedziała ciotce, że nie chcąc jej być ciężarem, postanowiła pójść w służbę, a nie słuchając żadnych odradzań, naprędce poczyniła przygotowania do podróży i na drugi dzień o świcie z małym tłómoczkiem pod pachą, w którym zawierało się całe jej mienie, wyszła z Brzozówki, odprowadzona przez kilka wieśniaczek żegnających ją z płaczem; puściła się w drogę, nie mówiąc nikomu, gdzie się udać zamierza. Odtąd o Marcie żadnej wiadomości nie było; z początku wspominano często, potem rzadziej, a po upływie lat kilku zapomniano prawie zupełnie o niej. Tak to bywa na świecie, jak mówi przysłowie: co z oczu, to i z myśli.

Mijały lata, a Marta bez wieści zaginęła gdzieś na szerokim świecie.

(Dokończenie nastąpi).

Godziny po robocie.

XIII.

—

— Mówiliśmy, moi mili, rzekł pan Dorosz do gromady zebranej przed domkiem jego, o tem, od czego zależy wysokość zapłaty za robotę; dzisiaj wam dodać jeszcze muszę, iż wysokość ta zawisłą jest także od *bogactwa* ogólnego kraju i *ludności* jego.

— Jak to się ma rozumieć? zapytał Bonek.

— Oto tak po prostu wam powiem: jeżeli mamy w jakim miejscu np. do rozdzielenia 100 rubli na 100 osób, to każda dostanie po rublu; jeżeli 200 na 100, to dostanie po 2 ruble i t. d. I przeciwnie: jeżli na też same 100 głów przyjdzie rozdzielić tylko 50 rs., to każda dostanie po półrublu. Prawda?

— A prawda W. panie?

— No, to dobrze. Co się powiedziało o owych ludziach i pieniądzach, to powiedzieć można w zastósowaniu i o kraju całym i jego ludności.

— Ależ proszę pana, przerwał Szlej, tu niema mowy o pieniądzach i ich rozdziale, ale poprostu o robocie i zapłacie za nią.

— Przynajmniej, odrzekł doktór, o czemś bardzo podobnem. Im jest więcej w kraju pomiędzy konsumentami, czyli zużywającymi wyroby fabryk, albo rolnictwa, ludzi mających pieniądze, tym więcej jest odbytu na to, co się dla zaspokojenia potrzeb człowieka sprzedaje; więcej zatem sprzeda rolnik, fabrykant, rzemieślnik, bo większe będzie zapotrzebowanie, a tem samem większa produkcya, czyli wyrabianie przedmiotów potrzebnych do życia lub okrycia, przez to więcej rąk roboczych będzie poszukiwanych, i płaca będzie wyższą.

— To prawda; ale cóż to ma za związek z ludnością? zapytał Bonek.

— Zaraz ci odpowiem. Zrozumiałeś już mój Bonku, co to jest bogactwo kraju?

— A zrozumiałem W. dziedzicu... to jest ten kraj jest bogatszy, który posiada więcej w sobie dostatków, więcej ludzi mających się dobrze.

— To dobrze, przypuśćmy teraz, iż kraj ten dla zaspokojenia potrzeb pewnej liczby mieszkańców swoich potrzebuje do pewnej roboty takiej a takiej ilości rąk; jeżeli przeto z jakiejkolwiek przyczyny bogactwo jego, czyli kapitał ogólny się zmniejszy o połowę, a ludność zostanie ta sama, to kraj ów będzie w możności zaspokajać w połowie tylko potrzeby tejże samej liczby ludności swojej, czyli będzie w fabrykach np. i warsztatach wyrabiał połowę tego, co wprzód przy dwarazy większem bogactwie wyrabiał, a przezto da zajęcie tylko połowie tych robotników, których wprzód używał. Stąd znowu będzie napływ robotnika, a zatem płaca jego zniżyć się musi.

Taki sam skutek może wypłynąć i z innej jeszcze przyczyny.

— A to z jakiej? zapytał Grzegorz ciekawie.

— Jeżeli się ludność robocza w kraju powiększy, a bogactwo jego zostanie to samo; bo znowu ponieważ będzie mniej w kraju

pieniędzy, będzie mniej zapotrzebowania, będzie mniej przez to wyrobów, a zatem mniejsza liczba rąk roboczych będzie żądaną. Z tego to powodu powiedziałem wam, że wysokość płacy robotnika zależy od *bogactwa* kraju i stosunku jego do *ludności.*

Zrozumieliżeście mię?

Na to zapytanie tu i owdzie odzywały się głosy: zrozumieli, zrozumieli; nastała potem chwila milczenia, którą przerwał Grzegorz wyrobnik temi słowy, wyrzeczonemi z westchnieniem:

— Niech ta ludzie robią jak chcą na świecie, aby tylko życie było tańsze!

— O! są na to sposoby, odrzekł Dorosz. Jednym z nich jest współzawodnictwo, czyli tak nazwana z cudzoziemska *konkurencya.*

— Jak się to ma rozumieć? zawołali.

— O! niech was Bóg broni, odezwał się gwałtownie Szlej... oto tak: że to zguba dla robotnika; bo im was więcej będzie ubiegać się o robotę w jakiej fabryce, to was taniej płacić będą.

— Zaraz, zaraz! przerwał mu Dorosz... nie uprzedzaj końca. Dlaczegoby np. fabrykantowi żelaza współzawodnictwo innych takichże fabrykantów, czyli większa ich liczba w jednem miejscu była szkodliwa?

— Boby mu, odrzekł Szlej, przeszkadzała sprzedawać jego żelazo po takiej cenie, jakąby mógł brać bez współubiegania się innych, a tem samem nie mógłby płacić robotnika tak dobrze, jakby tego pragnął.

— A ty Bonku dlaczego boisz się współzawodnictwa? Odpowiesz mi żapewne, ze gdyby 10 tobie podobnych przywiozło z tobą razem na targ jednakową, a może i większą ilość zboża, tobyś go musiał taniej sprzedać. Nie prawdaż?

A ja wam powiadam, że nie jest to tak źle, jak się na pierwszy rzut oka zdaje. Każdy z was jest nietylko wyrabiającym produkta, ale i spożywającym owoce pracy drugich, czyli *konsumentem.* Wy fabrykanci zapominacie, że współzawodnictwo pomiędzy robotnikami zniża dla was płacę za ich robotę, to jest im ich jest więcej do najęcia, to im taniej płacicie. Dzięki to temu współzawodnictwu pomiędzy rolnikami, kupujecie taniej od nich zboże. Kupcy narzekają na współubieganie się pomiędzy sobą, że taniej towary sprzedawać muszą, a nie pamiętają, że z przyczyny współzawodnictwa między fabrykantami, taniej kupują z fabryk te towary. Właściciele, dzierżawcy i w ogóle rolnicy boicie się współzawodnictwa, bo zniża ceny waszych produktów, a przecież to współubieganie się pomiędzy zużywającymi wasze zboże, sprawiło przed kilku laty przy ówczesnym nieurodzaju, że je przepłacano; że tańsze zboże spowoduje, iż taniej będziecie mogli zaspokajać potrzeby wasze; że toż samo współzawodnictwo między fabrykami żelaza zniżyło cenę narzędzi rolniczych. A zatem skutki ogólnego współzawodniczenia między ludźmi sprowadzają taniość ogólną przedmiotów.

— Jednak takie współubieganie się sprawia ludziom wielkie trudności, zarzucił Bonek.

— Zapewne. Ale cóż jest w życiu bez trudu? Życie nie jest łatwem, a jednak każdy do niego jest tak przywiązany. Więc się nie skarżmy na nie, ale zmniejszajmy sobie sami te trudności.

— O tóżto właśnie chodzi, przerwał Szlej z przymówką.

— Widzicie moi ludzie, człowiek nie jest świętym; we wszystkiem co robi, ma on naprzód własny interes. Współubiegają się ludzie między sobą dla osiągnięcia z tego większych dla siebie korzyści; ale takie współzawodniczenie jednych, takie dążenie pojedyńczych do własnej naprzód korzyści, sprowadza pożytek i dla drugich, jakem to wam wykazał. I tak współzawodnictwo między fabrykantami daje korzyści robotnikom, bo ich drożej płacą, i nawzajem; współubieganie się rolników przynosi korzyści dla tych, co chleb kupować muszą; współubieganie się między rzemieślnikami sprawia taniość wyrobów dla ogółu; jeżeli jest większa liczba ludzi wypożyczających pieniądze na mniejszy oni procent dają i t. d.

Współzawodniczenie w ogólności pobudza człowieka do większej pilności i uczenia się, aby wyroby jego nie były gorsze od innych. Jeżeli szewc widzi, że jest drugi we wsi, co również dobrze, a może lepiej od niego robi, to on fałdów przysiedzi i stara się o to, aby but był zrobiony jak się należy i t. d. A oprócz tego moi kochani, jeżeli takie współubieganie się ludzi robi tańszemi i lepszemi

wyroby, narzędzia, chleb, a w ogóle tańsze życie, to dozwala nadto i biedniejszemu mieć to, czegoby, gdyby było droższe, kupić nie był w stanie. I jeżeli np. w skutek współzawodniczenia wielu księgarzy czyli większej ich liczby, tańsze są książki, jeżeli z tej samej przyczyny między rzemieślnikami, tańsze odzienie, obuwie i t. d.; to łatwiej będzie i osadnikowi, i rzemieślnikowi oddać swe dziecię do szkoły, kształcić je na człowieka z nauką, i otworzyć mu przezto pole do lepszego losu. A zatem konkurencya czyli współzawodnictwo upowszechnia wynalazki, równa ludzi, bo dozwala wznieść się do nauki i dojścia przez to i do własności i lepszego bytu, a przedewszystkiem życie czyni tańszem. Jest ono bowiem taniem nietylko wtedy, kiedy się wszystko taniej kupuje, ale i wtedy, kiedy nadto człowiek może mieć udział w użyciu przedmiotów i dogodności takich, których dotąd nie znał.

— O! mój Boże, zawołał Grzegorz zdziwiony, toć to tak jasne, a człowiek jak ślepy tego nie widział!

— Tak mój poczciwy. Opatrzność urządziła świat i ludzi tak, że związała dobro jednego człowieka z dobrem wszystkich ludzi; w tem leży braterstwo chrześciańskie, i nikt z ludzi porządku tego zmienić nie może. Trudnem jest wprawdzie życie, ale ma swoje powaby; najlichszy żebrak nie chciałby, aby mu je odjęto. Są przeciwności, są ciernia w tem życiu; alež je praca, uczciwość pokona, gdy je miłość braterska lżejszemi uczyni, gdy na wzór tego cudownego urządzenia świata i my serca nasze urządzimy!

Zuzanna Amenda.

—

Córka Stanisława Amendy, męża nauką i wielką pobożnością zaleconego, oraz Elżbiety Frezerównej, potomki zacnego domu w województwie Krakowskiem. Pobożnie od rodziców wychowana, doszedłszy lat właściwych, nie chciała wejść w związki małżeńskie, postanowiwszy śluby czystości wykonać, czemu pierwej sprzeciwiali się jej rodzice, ale widząc w córce niezachwiane postanowienie, zezwolili na jej prośby. Otóż roku 1628 dnia 5 marca w dnie zapustne, po uczynionych rekollekcyach, z wielką uroczystością jak na ślub wprowadzoną została do kościoła świętej Barbary w Krakowie przez Tomasza Oborskiego sufragana i oficyała Krakowskiego. Potem przez krewnych swoich została zaprowadzoną do ołtarza; niesiono przed nią koronę drogiemi kamieniami i perłami zdobną, przy tem pierścień ślubny i serce szczerozłote z napisem: *Chrystusowi nieśmiertelnemu oblubieńcowi, Zuzanna Amenda przez te się znaki oddaje na wieki*; i te upominki padłszy na kolana, w ręce biskupa oddała, który je na ołtarzu wielkim złożył. Następnie ślub wiecznej czystości wykonała.

Dzień ten rodzice jej uroczyście uświęcili, sowite jałmużny rozdając między ubogich i onych hojnie u kilku stołów częstując.

Odtąd Zuzanna gorętszym duchem poczęła Bogu służyć, i ujmując sobie wygód, przyczyniała jałmużn i dobrych uczynków. Czas zbywający od modlitwy, spędzała przy robotach ręcznych, szyjąc koszule ubogim i ozdoby kościelne, lub usługi biednym czyniła. Co czwartek nawiedzała szpitale, jeść w nich gotowała, i sama zgotowane rozdawała ubogim, własnemi rękami karmiąc niektórych, następnie spisywała żądania każdego ubogiego, ażeby je snadniej do domu przyszedłszy, mogła wykonać. Sieroty biedne słowem i datkiem wspierała, jakoteż w domu ich własnym wiele pielęgnowała.

Gdy ją rodzice odumarli, po których znaczny majątek odziedziczyła, ten cały prawie obróciła na dobroczynne uczynki, jako to: ubogich wspierała, więźniów wykupywała, zadłużonych ratowała, żebraków żywiła i wszystkie ich potrzeby zaopatrywała.

Świętobliwa ta niewiasta w Krakowie była poważaną od najznaczniejszych osób; zwano ją świętą, błogosławioną, przykładem panien, ozdobą niewiast, matką ubogich.

Starością obarczona, gdy już do kościoła chodzić nie mogła, biskup Krakowski pozwolił, aby w domowej kaplicy msza odprawianą dla niej była.

Tak do bliskiej gotując się śmierci, ostatek dochodów własnych na ubogich, na kościo-

ły, klasztory i szpitale przez testament zapisała.

Obraz zaś Najświętszej Panny łaskami słynącej, przed którym w domu zwykle modliła się, za najdroższy upominek księżom Reformatom w Krakowie przekazała, których to po części żywiła, odziewała, chorych kosztem swoim leczyła i inne ich potrzeby zaopatrywała.

Zmarła roku 1644, za życia grób dla siebie wybudowała w kościele księży Reformatów, gdzie ciało matki jej spoczywało; na pogrzeb jej zbiegło się całe miasto.

Fundowała na placu darowanym przez Krystynę z Zborowskich Grochowską, kościół i klasztor dla Reformatów.

Z czasem na miejscu tego kościoła, który ogniem zniszczony zosłał r. 1655, gdy szwedzi Kraków oblegać mieli, stanął nowy. Księża Reformaci ciało jej jako fundatorki swojej z dawnego kościoła solennie przenieśli do nowej fundacyi. Kwiaty, któremi podczas tego przeniesienia pobożne panny ozdobiły jej trumnę, rozerwało pospólstwo.

Zwłoki jej złożone zostały w grobie Szembeków, jako przez matkę pokrewnej temu domowi.

Rozmaitości.

Kto winniejszy?

A! bogdaj was takie woły!... ta k'sobie! ta k'sobie!... a bodajeście pozdychały!...

— Stój chłopcze, co ty robisz? zawołał gospodarz na swego parobka Bartka, który okładając niemiłosiernie kozicą niespokojne woły, klął bez umiarkowania.

— A no, jakżeż tu gospodarzu nie kląć i nie bić, kiedy te psiejuchy nie idą jak powinny, tylko się kręcą na wszystkie strony, odrzeknie zaspany Bartek.

— Woły, jak woły, powie na to gospodarz, trzeba mieć wyrozumienie: robactwo tnie, niedziwota, ogania się jak może bydlątko, a jako bezrozumne, nie wie, że nie idąc prosto, źle robi. Ale ty Bartku wiesz, że się kląć nie godzi, ani katować bydlęcia, a jednak klniesz i katujesz... *Któż tu przed Bogiem winniejszy?*

Chłopak jakby języka w gębie zapomniał, tak na to narazie ani pisnął; po chwili dopiero skłonił się gospodarzowi do kolan i poczerwieniał ze wstydu jak wiśnia, mówiąc:

— No, nie markoćcie się już na mnie gospodarzu, widzę ja już sam, żem źle zrobił, co prawda to prawda; nie bydlątka one nie rozumne, ale ja winniejszy przed Bogiem. A że się to już drugi raz na mnie nie wykaże, to wam święcie przyobiecuję!

Na to ucieszony gospodarz:

— To dobrze Bartku, kiedy obiecujesz poprawę, bo inaczej toby mi strasznie o ciebie było markotno.

Czyja prawda?

Spór wiodło dwóch kmieci, Grzela z Wojciechem, o to, czy wódka daje moc człowiekowi, albo też nie? Grzela ją przeklinał, Wojciech zaś bronił zawzięcie.

Gdy tak się wodząc, idą ze sobą, aż tu nieopodal od karczmy widzą kuma Macieja, który się tak zataczał, jakby nie na swoich szedł nogach; a byłto chłop tęgi i tak silny, że wołu za rogi mógł przytrzymać.

— A jemuż biedakowi co, zawoła Grzela, że taki dziś niemocny, iż ledwie lézie nieborak?

— Ba! niemocny, odrzeknie Wojciech, a toć chybaś ślepy, kiedy nie widzisz, że się Maciek spił jak nieboskie stworzenie, i że go to tak *siwucha* z nóg ścięła.

— Co mówicie, pijany? zapyta Grzela, a tylko coście się zemną sprzeczali, że wódka mocy dodaje; czyjaż więc prawda?..

Na to Wojciechowi jakby kto w twarz dał, zamilknął jak trusia, i odtąd już nigdy przed Grzelą nie utrzymywał, że wódka mocy dodaje.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkish stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 3 (15) kwietnia 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*